All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 13go MAJA 1897 ROKU. **Nr. 19.**

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 13 Maja, Serwacego. Piątek 14 Maja, Bonifacego. Sobota 15 Maja, Zofii m. Niedziela 16 Maja, Jana N. Poniedziałek 17 Maja, Paschalisa. Wtorek 18 Maja, Feliksa. Sroda 19 Maja, Piotra.

Na Niedzielę IV po Wielkanocy.

Ewangielia św. Jana w rozdziale XVI.

W owym czasie rzekł Jezus uczniom Swoim: Idę do Tego, który mnie posłał, a żaden z was nie pyta Mię, dokąd idziesz? ale iżem wam to powiedział, smutek napełnił serce wasze. Aleć Ja prawdę wam powiadam, pożyteczno wam, abym ja odszedł; bo jeźli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was, a jeźli odejdę, poślę Go do was. A On gdy przyjdzie, będzie karał świat z grzechu, i z sprawiedliwości i z sądu. Z grzechu mówię, iż nie wierzyli we Mnie; a z sprawiedliwości, iż do Ojca idę, a już Mię nie ujrzycie; a z sądu, iż książę tego świata już jest osądzony. Jeszcze wam wiele mam mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie ów Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy: bo nie sam od Siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszy, mówić będzie, i co przyjść ma, oznajmi wam. On Mię uwielbi, bowiem z Mego weźmie, a wam opowie.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

OD ADMINISTRACYI.

Wszystkich pp. Abonentów, którzy zalegają z prenumeratą, uprasza się o niezwłoczne nadesłanie tejże. Każdy dolar w obecnych ciężkich czasach jest nam bardzo potrzebny. Podwójnie więc będziemy Szan. Abonentom wdzięczni, gdy nam nadeślą to, co się nam sprawiedliwie należy. Zwracamy się szczególniej do tych, którzy za dwa a nawet za trzy lata abonamentu nie zapłacili i prosimy ich raz jeszcze o uregulowanie rachunku.

Pasterz, który daje życie za owieczki swoje.

Ciężkie to i smutne były czasy, kiedy Leszek Czarny panował; nieweselej też było na Szląsku, bo one rycerskie a ciepłogłowe Piasty szląskie, to szamotały się z Polską, to najeżdżały się między sobą. A podobno nad nich wszystkich celował butnością i zuchwalstwem Henryk Wrocławski, Probus. Byłto człowiek uparty a hardy i zbyt gorąco kąpany, jak wszystkie Piasty. Prawda jednak, że jakoś bliżej serca swojego trzymał obcych, niż swoich, co mu wcale nie idzie na pochwałę. A lubo był poetą i składał wdzięczne wiersze niemieckie i lubo go nawet przezwali ,,Łagodnym'', był przecież czasem, a mianowicie dla swoich, dość twardym.

Temuż Henrykowi zachciało się pewnego razu zabrać Wielkopolskę dla siebie; więc najechał kraj znienacka, a mając tam konszachty ze Sędziwojem, kasztelanem kaliskim, dostał Kalisza zdradą. Niedługo przecież w nim usiedział; bo choć się w nim dzielnie bronił, wyparli go rychło z niego Wielkopolanie. A tak Henryk, nic nie wskórawszy, zmarnowawszy pieniądze i mężne hufce, ze smutkiem ciągnął napowrót do Wrocławia. Tutaj nie na wielką

pociechę swoję znalazł pustki w skarbcu. Przeto gniewny sępił się, dumając, jakby znów podłatać zasoby swoje i powetować szkody. Nie trudno mu było o sposób. On już oddawna się krzywił, widząc, jak Tomasz, biskup wrocławski, rósł w zamki, miasta i włości bogate. Pokusa tedy była nie lada, a przytem dufał, że mu przecież gładziej pójdzie z biskupem, niż z butnymi Wielkopolanami. Więc znienacka rozesłał groźne rozkazy, aby nie Tomaszowi, ale jemu płacono dziesięciny kościelne; a na domiar nacierał twardo na biskupa, aby mu złożył grubą sumę w gotówce. Tomaszowi nie kwapiło się z pieniędzmi. Stąd książę najechał mu miasta i dobra katedralne i zagarnął to wszystko, jakby swoje.

Takie zuchwalstwo nie mogło ujść płazem; jakoż Swinka, arcybiskup gnieźnieński, ujmując się za Tomaszem, zwołał zbór biskupów w Łęczycy, którzy też po niezbyt długich naradach wyklęli jednomyślnie Henryka, lecz nietylko jego, ale i Wrocław; co większa, obłożyli klątwą wszystkie majętności księcia i wszystkie jego pomocniki i poradniki w tej sprawie. Henryk atoli tem wcale nie skruszał, nawet wziął jeszcze bardziej na kieł; bo nie namyślając się długo, wygnał z Wrocławia Tomasza i duchowieństwo. Duchowieństwo schroniło się do gościnnej zawsze Polski, a biskup Tomasz wśród mnogich niebezpieczeństw przedarł się do Raciborza. Temu miastu podówczas rozkazywał Władysław, książę na Opolu. Ten, będąc człowiekiem wielkiego serca, z całej duszy rad był wygnańcowi, ofiarując mu przytułek w Raciborzu. Uczciwi tamtejsi mieszczanie warci też byli swojego pana, otaczali biskupa–tułacza czcią, zasługując mu się, jak który z nich mógł najlepiej.

Jednak Henryk Wrocławski tak się zajadł i zaciął na Tomasza, że mu nawet w Raciborzu nie chciał dać spokoju. Więc pisze ostre listy do Władysława, więc wyprawia butne posły do niego, czyniąc mu wyrzuty i cierpkie wymówki, że biskupa trzymał w Raciborzu, żądając, by bez zwłoki wypuścił wygnańca ze swej opieki. Zacny książę Opolski, choć wróżył dla siebie złe, które się już dla niego wyświęcało, przecież uczciwie stał przy biskupie i danem mu słowie; w niczem tedy Henrykowi nie folgował i hardo mu się stawiał, pogardliwie na owe wyrzuty i żądania jego odpowiadając.

Książę Wrocławski, uwziąwszy się bądźcobądź swojego dokazać, zbiera co tchu szląskie chorągwie i z licznym zastępem ciągnie na Raciborz. Oblega miasto, nie żałuje taranów, kusz i bije mury, ciska kamienie i przypuszcza szturmy. Lecz nie tak mu była miękka sprawa z Raciborzanami, bo ci wcale nie od bójki, pycha i przechwalania się Wrocławiaków od starych lat stały im solą w oku. Mężnie przeto a ochoczem sercem odpierają napastników. I nie wiedzieć, jakby się to wszystko jeszcze skończyło, gdyby w samym Raciborzu, czyli raczej w samychże Raciborzanach nie pojawił się nieprzyjaciel wewnętrzny — głód. To wróg straszniejszy, niż on Henryk za murami i wszystkie Wrocławczyki jego; bo mniejsza o bitkę, choćby i o guza; mniejsza o tarany, bo i na to sposób, lecz jakże było im wojować z własnym żołądkiem?

Zrazu nie przykrzyli sobie w niedostatku; gdy się atoli głód naprawdę wzmagał, mruczeli z cicha, potem coraz donośniej i donośniej, aż też na ostatek zaczęli wygadywać na tę wojnę i kląć na tę sprawę.

Wtedy nie żartem zanosiło się na srogą biedę; mór głodowy już coraz głośniej dobywał się do drzwi rodzin, kędy wprawdzie nie bywało i dawniej zbytkowo, przecież nie brakowało powszedniego chleba. A strach okropnego skonu nie jednę mężną duszę zmroził.

Wtedy biskup, któremu już oddawna serce się krajało, gdy patrzał na rozpacz i jęki straszliwe, zwołał do siebie kanoników swoich i wedle kronikarzy tym trybem do nich rzecz miał: ,,Patrzcie, najmilsi bracia moi! To miasto uczciwe, które przez czas tak długi udzielało nam obrony bezpiecznej i lubego pokoju, które nas biednych i ściganych tułaczy u siebie podejmowało serdeczną gościną, to miasto teraz morzone jest głodem i dręczone obawą śmierci okrutnej. Nie godzi się już, aby dłużej jeszcze niewinni ludzie za nas cierpieć mieli. Lepiej podobno będzie, jeżeli wyswobodzimy miasto biedne, samych siebie poświęcając. Pójdźmy! Choćbyśmy nawet wolnością lub gardłem przepłacić mieli!" Słowa takowe przejęły jakby promienie miłości Bożej serca zacnych kapłanów. Wszyscy gotowi iść za biskupem, sami siebie na ofiarne odkupienie miasta poświęcając. Biskup przyodziewa ornat, jakby na wielkie święto pańskie, bierze infułę i pastorał; kanonicy w szatach uroczystych idą za pasterzem, który ,,daje życie za owieczki swoje".

Lud Raciborza ze łzami patrzy teraz na orszak poważny i święty, co śpiewając psalmy, Bogu się porucza i zwolna ciągnie ku murom miejskim, by się śmierci zaślubić. Lud klęka — biskup go błogosławi. Teraz już bramy miejskie, od tak dawna zamknięte, roztworzyły się i wypuściły męczeńskie grono.

Tomasz i zacne towarzysze jego już się zbliżają do pierwszej straży obożnej nieprzyjaciół. Giermki książęce zdaleka już spostrzegły pochód uroczysty i poznały biskupa. Wpadłszy tedy do namiotu Henryka, donoszą, że sam Tomasz, któremu jest tak ziętym wrogiem, zbliża się do obozu. Nie wierzy zrazu książę, potem, uderzony podziwieniem, wyskoczy z namiotu, rzuca się spiesznie naprzeciw biskupowi i, jakby tknięty niebiańskim promieniem, pada twarzą na ziemię i woła: ,,Ojcze! zgrzeszyłem!".... Biskup podniósł go, przytula do siebie i łza spłynęła zwolna po wyschłych, bladych licach; przebacza mu z całego serca. A ów Henryk, twardy i hardy, teraz z całych piersi na głos zapłakał. — Gdy takie łzy na ziemię padną, uśmiechają się anieli w niebie.

Obaj ci ludzie, co niedawno gorzeli nienawiścią ku sobie, teraz, ściskając się i całując, w zachwyceniu radosnem wzięli się pod rękę i sami, bez świadków, weszli do kościoła św. Mikołaja. I Bóg wysłuchał ich modlitwy i łaską swoją pojednał ich na życie całe. Biskup i książę wystąpili ze świątnicy z wyjaśnionem obliczem, a Henryk poznał, jak to ludzkie serce ubogie, gdy nienawidzi, jak bogate, gdy miłuje.

Henryk wrócił biskupowi wszystko, co mu był dawniej zabrał, owszem uczynił nowe, hojne nadanie dla katedry wrocławskiej. Arcybiskup gnieźnieński zdjął rzucone klątwy swoje.

A w Raciborzu było huczno i radośnie, gdy od ust do ust puściła się wiadomość weselna, że biskup ocalony, że go sobie książę przyjął za brata od serca. Więc już wszystkie bramy na oścież roztwarto, a we wszystkich bramach teraz zgłodniałe biedaki witają zapasy, dawno niewidziane. Więc brzmią wesołe ochoty i świetne festyny; więc z za muru wezwane do miasta na biesiadę Wrocławiaki ucztują teraz z Raciborzanami i piją kolejnego na wieczne braterstwo i wzajemne nieustające kochanie.

Józef Kremer. (Podróż do Włoch).

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A kto by chciał wszystkiego rozumem dochodzić,
I zginie i nie będzie umiał w co ugodzić.

Jan Kochanowski.

KTO WINIEN?

Nowela

przez **Stanisława Miłkowskiego.**

I.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdy człek ożeni się wedle serca i pragnienia, a przytem przekona się w dalszem pożyciu, że ta, którą ukochał, której oddał serce, nadzieje i przyszłość swoją, zasługuje na miano kobiety-anioła, to owoc z takiego małżeństwa jest drogim zadatkiem, a pierwsze, pierworodne dziecię chłonie miłość rodzicielską bez granic. Otóż w tym razie rodzice najczęściej błądzą. Miłość taka dla pierworodnego bywa bardzo często przyczyną najstraszliwszych mąk i zmartwień, a czasami nawet zatruwa życie całe.

Nie chcę wam prawić kazania, ale na żywym przykładzie, na wypadku, jaki niedawno miał miejsce, dowiodę prawdy mojego założenia.

Posłuchajcie tedy.

We wsi Potoku, niedaleko od miasta Poznania, mieszkał Jan Cybajewicz, z profesyi szewc. Ożeniwszy się z młodą dziewczyną, pokojówką od pp. Zaleskich, z drobnych oszczędności swych założył warsztat i zajął się robotą tak, jak się zajmuje przyszły ojciec rodziny.

Po roku urodził mu się syn. Dano mu na imię Józef i rodzice zaprzysięgli sobie przy kolebce dziecięcia, że poświęcą wszystko, aby tylko Józio był człowiekiem.

Minęło lat kilka; chłopiec rósł, rozwijał się pięknie i z budowy ciała zapowiadał siłacza.

Niejednokrotnie Cybajewicz głęboko się zamyślał, jaką przyszłość należy zapewnić synowi, bo nie chciał wcale, aby jak on, krwawo zarabiał na utrzymanie rodziny.

— Niech tylko dojdzie do lat 8miu, poślemy go do szkoły, mówił do żony.

— Ej czy potrzeba koniecznie, aby oddalał się z domu? wtrąciła Cybajewiczowa. Niechby po prostu został szewcem, jak ojciec.

— Nie, nie; pod żadnym warunkiem. Przeszedłem tyle smutnych kolei, że na myśl samą dziś jeszcze drżę cały.

— Ha! jeżeli tak, zgadzam się, dodała żona.

Ciekawa rzecz, na co też kierować będą swego syna? Boć przecież doskonale wiemy, że rzemiosło jest jedynym środkiem zabezpieczenia bytu dla człowieka ubogiego. Gdziekolwiek los go rzuci, wszędzie przy jakim takim fachu znajdzie zarobek, a tymczasem kształcąc się na urzędnika, technika lub doktora, nietylko musi lata całe ciężko pracować, nie tylko powinien posiadać odpowiednie na kształcenie fundusze, ale jeszcze i mówiąc po ludzku „mieć szczęście".

Przysłowie: lepszy łut szczęścia niż funt rozumu, w obecnych szczególniej czasach na każdym kroku sprawdzić można. Widzimy tysiące ludzi, ukształconych, rozumnych, skończonych, którzy nadaremnie poszukują odpowiedniej pracy i jeżeli otrzymają jakiekolwiek zajęcie, to wynagrodzenie pozostawia wiele do życzenia.

Wiedział o tem Cybajewicz. Zaślepiony jednak zbytniem przywiązaniem do syna, marzył dla niego o jakichś niezwykłych godnościach i miejscach.

Józieczek pieszczony, używał najzupełniejsze swobody. Dzieci z natury bywają grymaśne, uparte, samowolne. Józio w tym razie mógłby być wzorem, ale rodzice puszczali mimo wszystkie jego wybryki i psoty. A był to chłopiec istotnie bardzo nieznośny. W domu przedewszystkiem dokuczał kotom, dręcząc je w sposób okrutny; nie przeszedł około psa, żeby go albo nie potrącił, albo nie uderzył kijem. W kole rówieśników bano się go jak ognia, gdyż obdarzony nie-

zwykłą, nad wiek siłą, bił, kopał, szczypał każdego, kto się mu w czemkolwiek opierał. Doszło do tego, że uciekano od niego, że nikogo nie mógł wciągnąć do zabawy, że stał się postrachem całej wsi.

Przytem był złośliwy i mściwy. Wybijał okna ojcom chłopców, którzy unikali jego towarzystwa; przekupkom, skoro się pojawiły we wsi, psuł nożem worki i krajał koszyki, a nawet razu jednego, przez zemstę, podpalił stóg siana sąsiadowi.

Rodzice jak mogli łagodzili oburzonych wieśniaków, płacili wyrządzone szkody, nic to przecież nie pomagało, bo Jasiek niepoprawny coraz bardziej broił.

Cybajewicz z tego tytułu poróżnił się prawie ze wszystkimi i stracił wiele z zarobku, bo mu już nie chciano dawać butów do roboty.

— Żebym miał takiego zbytnego chłopaka, mówił raz poważny kmieć do szewca, tobym go zaraz batem umitygował.

— Ja wiem, odparł Cybajewicz, nie macie dzieci, to się wam zdaje, że można tak łatwo katować.

— Nie potrzeba katować, ale po ojcowsku ukarać. Nie pozwolić na figle, trzymać ostro, niechby się lękał waszego gniewu. Tu tymczasem wasza żona pieści go jak osobliwość, a wy znowu, zamiast potępienia, pobłażacie jeszcze bezprawiom. Pamiętajcie, nie życzę ani Józiowi, ani wam źle, ale wyrośnie z niego wielki nicpoń.

Cybajewicz głęboko uczuł wyrzut kmiecia i postanowił zająć się energiczniej postępowaniem syna. Kiedy więc Józio, jednego razu, poszczuł psami żebraka, wybiegł z chaty i pocięglem zbił go najokropniej.

Cóż się jednak stało! Żona wzięła stronę jedynaka, przemówiła się bardzo seryo z mężem, a nawet z przestrachu i żalu rozchorowała się obłożnie.

Biedny szewc na chorobę żony wydał prawie wszystkie zapasy, przez kilka tygodni zaniedbał zupełnie robotę i sam wreszcie położył się do łóżka z niewyspania i nieustannego czuwania przy chorej małżonce.

Czy myślicie, że Józio podczas choroby rodziców chociaż łzę uronił, lub pokazał się w chacie, odczuł zmartwienie? Broń Boże! włóczył się po polach, po lesie, to wykręcając gniazda ptasie, to uganiając się za źrebakami po łące, które siekł pręcikiem z ciernia.

Był on już wyrostkiem nie lada. Dziesięcioletni chłopak w gospodarstwie przynosi zawsze pomoc, można mu już powierzyć i wóz i konie i wyprawić w pole z pługiem lub sochą, lub nawet posłać za sprawunkami do miasta. Tak czynili wszyscy kmiecie, tylko Cybajewicz chuchał na gagatka, żeby się przypadkiem nie zaziębił.

O nauce mowy nie było. Józiek wyraźnie oświadczył ojcu, że nie ma żadnej chęci do nauki i że, jeżeli go będą przymuszali, pójdzie w las, albo puści się z galarami na wodę.

Cybajewiczowa słysząc to, o mało nie umarła z obawy.

Tak minęło lat czternaście, Józiek rozrosły niezwykle, silny jak młody ciołek, wałęsał się po wsi i po okolicy, czasami nawet po kilka dni nie zaglądał do domu.

Polubiwszy włóczęgę jak cygan, z dobranymi dwoma kompanami, którzy równie byli nicponiami, przebywał w lesie, kradnąc z pola kartofle i piekąc je na pożywienie, lub też rabując owoce z ogrodów w nocy. Tak było w lecie; w zimie trzej łotrzy dostawali się do komór, lub też z dołów wyławiali znajdujące się tam perki, masło lub ser zabierali, łamiąc drzwi, wreszcie mięso, gdy się dowiedzieli, że jaki kmieć zabił wieprzaka.

Teraz już nie ulegało wątpliwości, że jeżeli Józiek nie poprawi się sam, to rodzice na niego podziałać nie będą w stanie.

— Co tu począć z tym chłopcem! ma-

wiał Cybajewicz do żony. Widzę najwyraźniej bardzo smutną jego przyszłość.

— Bo ty zawsze słuchasz niechętnych, odparła żona; Józiek im solą w oku.

— Moja Karolciu, nie wiesz połowy tego, o czem mnie dochodzą słuchy.

— Ciekawam bardzo, co to takiego?

— Źle, bardzo źle.

— Zapewne wytłukł komu szybę, albo jeździł przez cały dzień na cudzym źrebaku.

— Żeby to tylko, ale inne, zupełnie inne dzieją się rzeczy.

— Nie chcę słuchać wcale, bo wy się wszyscy uwzięliście na mojego Józiaka. Niech buja, bo młody, a jak się wyszumi, będzie człowiekiem.

— Albo łotrem! krzyknął ojciec tracąc tym razem zupełnie cierpliwość.

— Niedoczekanie twoje, zawołała matka. Trzasnęła drzwiami, zamknęła się w komorze i do nocy ztamtąd nie wyszła.

II.

Od tej chwili pożycie małżonków było jak najgorsze. Matka broniąc syna, obrzucała wyrzutami ojca, że nie kocha własnego dziecięcia, że jest zimnym, bez serca, że zapewne musi mieć na boku jakieś znajomości, gdy mu już obmierzył własny dom i rodzina.

Szewc nie odzywał się na to. Kobieta, jak się na co uprze, jak coś weźmie do serca, niczem jej tego nie wytłómaczysz, nie przekonasz.

Tymczasem Józio już był dużym Józkiem. Miał lat ośmnaście i w niczem zupełnie nie zmienił swego życia. Szewc pracował dniem i nocą i martwił się okropnie, ale do żony nie miał już serca. Pani majstrowa coraz więcej unikała zejścia się z małżonkiem. Sypiała sama w komorze, przyjmowała i częstowała kumoszki, a nawet poczęła i do karczmy zaglądać coraz częściej. Józiek tylko niekiedy pokazywał się w chacie.

Cała wieś ubolewała nad nieszczęśliwym rzemieślnikiem, który był do tyla słabym i niedołężnym, że nie zdołał nawet zapanować nad własną żoną.

Szewc gryzł się, sechł, pokaszliwał, ale milczał. Kochał żonę całą duszą i widząc, że spór o syna pozbawił go jej miłości, nie odzywał się, nie skarżył, nie biadał, ale co się w jego duszy działo, jeden tylko wie Bóg.

Minęła jesień i nastała zima. Zima ostra, jakiej dawno nie pamiętano. Po wsiach dawał się odczuwać głód; lato nie było zbyt urodzajne, nie zebrano dostatecznej ilości zapasów; ogrodowizny przepadły, kartofle poczęły gnić w dołach, ludziska lękali się głodowego tyfusu.

W chacie Cybajewicza cicho i ponuro. Schylony nad warsztatem pracuje on pilnie, dwaj czeladnicy zawzięcie kują młotkami, bo roboty było sporo, ale swoboda znikła. Majstrowa wyniosła się z wizytą gdzieś w sąsiedztwo, zapomniawszy ugotować śniadania dla męża. Czeladnicy głodni spoglądali na siebie, kurczyli się, kochając wszakże majstra, nie chcieli go martwić i przypominać się o jadło; przecież i on sam od rana nie miał nic w ustach.

Nareszcie majster powstał.

—To podobno jeszcze nie jedliśmy śniadania? — rzekł.

Czeladnicy roześmiali się.

— Dla czego nic nie mówicie? Żona widocznie poszła po mięso do Poznania — dodał, zawstydzony śmiechem chłopców. — Przynieś-no Walek wódki, bochenek chleba i kawał kiełbasy; trzeba będzie czem się przecie pożywić.

Niezadługo otworzyły się drzwi, wszedł mieszczanin z Poznania.

— Dzień dobry panie majstrze — rzekł. Nie moglibyście to lepiej przenieść się do

miasta? Na przedmieściu waszem, wprawdzie może taniej nieco, ale w mieście zawszeby znalazła się robota.

— Nie narzekam, dzięki Bogu.

— Ba! to się rozumie, inaczej nie mieszkalibyście tak długo w Potoku. Gdzież żona?

-- Wyszła za sprawunkami — odpowiedział szewc, oblewając się rumieńcem wstydu.

— Syn pewno już chodzi do szkół, albo gdzie jest u rzemieślnika? — pyta znowu mieszczanin.

— Nie, w domu się uczy.

— W domu się uczy zbijać bąki? Co?

— Mój panie Watowny, cóż ja pocznę; żona za żadne w świecie skarby niechce się rozstać z synem. Józiek buja sobie wesoło.

— Oj, oj, panie Cybajewicz, będzie źle. Jak Boga kocham, będzie źle. Słyszałem ja już niejedno o waszym jedynaku i daj Boże, żebym nie był fałszywym prorokiem.

* * *

— Czy tu mieszka szewc Cybajewicz?— zapytał żandarm, wchodząc do izby.

— Tak, to ja jestem, a co tam Pan Bóg dał, panie Kotz? Z pewnością świeżą parę butów.

— I to będzie, ale ja tu przychodzę w innym interesie. Gdzie wasz syn?

— Wyszedł z matką do miasta.

Ale dziś w domu nie nocował?

— Dla czego się pan o to pyta? — rzekł majster, przeczuwając coś niedobrego.

— Nie udawajcie lepiej.

— Co to znaczy na Boga? Udawać wcale nie myślę i proszę pana, jeżeli jest coś takiego, powiedzieć mi bez ogródki. Jestem ojcem i powinienem o wszystkiem wiedzieć.

— Chodź pan zemną do komory—odezwał się żandarm, który znając od lat wielu Cybajewicza, nie chciał mu widać przy obcych czynić przykrości.

Rozmowa trwała dość długo, a kiedy wyszedł nareszcie, Cybajewicz był blady jak śmierć, wargi mu drżały i oko patrzyło błędnie.

Żandarm pożegnał go, uspakajając:

— Nie trwoż się pan, może to jeszcze nie prawda.

Cybajewicz po oddaleniu się żandarma i mieszczanina, co żywo zarzucił na siebie kapotę i zapowiedziawszy chłopcom, żeby się nie ważyli ruszyć z miejsca, wyszedł.

* * *

Minęło południe i zbliżył się wieczór, a majster nie powrócił. Cybajewiczowa dobrze cięta nadeszła późną nocą, a zwymyślawszy chłopców, że się zbyt wcześnie pokładli do spoczynku, zamknęła się, jak zwykle, w komorze.

— Walek, rzekł drugi czeladnik do towarzysza. Majstra nie ma, majstrowa *udziudziana* jak należy, co to będzie?

— Józka także nie widać.

— A co nam do niego. Pewnie gdzie kradną serki, albo siedzą pod lasem i pieką kartofle.

— W zimie?

— Alboż to raz w zimie siadywało się przy ognisku, gdy człowiek jeszcze konie pasał.

Minęła noc i zrobił się dzień. Chłopcy wstali do roboty, majstrowa chrapała w komorze, a o majstrze ani słychać.

Coś, może około południa, raczyła majstrowa wyjrzeć z komory.

— Dla czego się nie pali na kominie? — krzyknęła.

— Bo nie ma, proszę pani, drzewa.

— Co? Nie ma drzewa? Gdzież pan?

— Nie wiemy.

— Jakto, nie wiecie? Cóż to, nie było go w nocy?

— Ani w nocy, ani we dnie wczoraj.

Majstrowa wybiegła z komory rozszalała.

— Ja się w żarciki z tobą nie bawię, ośle jakiś.

I przy tych słowach chciała pochwycić za uszy czeladnika.

— Mówię prawdę, proszę pani. Pan jak wyszedł wczoraj o dziesiątej rano, a może i wcześniej, tak dotąd nie wrócił — mówił czeladnik zasłaniając uszy.

— Któż tu był wczoraj?

— Pan Watowny z Poznania i żandarm Kotz.

— Żandarm?

— Tak, proszę pani. Pytał się o Józka, z panem długo był w komorze, poczem majster wybiegł z domu co żywo.

Cybajewiczowa przeraziła się.

— Biegnij do Szlomy — zawołała — i jeżeli tam pana zastaniesz, prowadź go co tchem do mnie.

Chłopiec wybiegł, wkrótce przecież powrócił.

— Szloma od tygodnia nie widział pana majstra — rzekł.

W tem drzwi otworzyły się i na progu pokazał się Cybajewicz, ależ w jakim okropnym stanie! Ciąg dalszy nastąpi.

NA POGRZEB MATKI.

Obrazek z życia.

Sanki w pełnym biegu pędziły przez las a w nich siedział młody człowiek, którego oblicze zdradzało smutek i boleść, jaka napełniała serce młodzieńca. Jechał z miasta na wieść o śmierci matki, z każdą chwilą rozpacz zwiększała się, gdy pomyślał, że ta istota jedyna na świecie, która mu dała życie, leżała obecnie na katafalku, a dusza jej uleciała hen daleko, aby się na tamtym świecie z nieboszczykiem mężem, którego tak kochała, połączyć we wspólnym uścisku, a on jedyny syn pozostał na świecie sam jeden, wszystko co mu było najdroższe stracił, cóż mu więc teraz pozostawało życie pełne smutku i rozpaczy. Tak dumał, dopiero z tego stanu obudził go woźnica, mówiąc: Panie, źle będzie, widzi pan te światełka migocące w oddali — to wilki. Jedź prędzej, odrzekł Karól (tak się nazywał ów młodzieniec), nie zdając sobie sprawy z tego na jakie niebezpieczeństwo jest narażony. Swiatełka zaczęły się przybliżać, a niezadługo sanki znalazły się w otoczeniu całego stada wilków, to co się wydawało jakby światełka, były oczy żarłocznych zwierząt. Te otoczyły w jednej chwili sanki, troje wdarło się na nie, a reszta usiłowała również to samo uczynić, o ratunku mowy być nie mogło, gdyż Karol nie miał przy sobie żadnej broni, chciał więc ratować się ucieczką, wyskoczył z sanek, a do woźnicy krzyknął: uciekaj z końmi.

Ledwo zobaczyły to wilki, chciały się rzucić na niego i byłby niewątpliwie zginął, lecz na szczęście skoczył w bok i zapadł się w rów głęboki napełniony śniegiem, był uratowany, lecz skutkiem rozpaczy i przerażenia stracił przytomność. Pod śniegiem nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Zapadł w sen głęboki, śniło mu się, że jest w niebie, wraz z rodzicami, otoczony chórem cherubinów i nie posiadał się z radości, że widzi znowu ukochanych rodziców i że nie zazna już nigdy smutku, ni trosk ziemskich. Z tego marzenia obudził go odgłos uderzenia szufli o śnieg — to woźnica, który zdołał ujść wilkom, przyprowadził pomoc ze wsi — i teraz wraz z innymi pracował nad uratowaniem Karola.

Przewieziono go do domu, zapadł jednak na tyfus, w gorączce marzył ciągle o połączeniu się z rodzicami w niebie, a dziewiątego dnia ducha wyzionął.

W chwili, gdy za duszę matki odprawiała się w kościele msza święta, dusza syna uleciała tam, gdzie nie ma smutku i niedoli, jeno wieczna radość i wesele.



Powrót syna marnotrawnego.

POŻEGNANIE.

Kto z Bogiem, to Bóg z nim.

Przysłowie staropolskie.

Panna młoda, jak jagoda,
Stojąc we drzwiach płacze:
"Kiedyż ja cię
"W naszej chacie
"Tu znowu obaczę?".

Przed dziewczyną, przed maliną,
Stoi chłopak zbrojny,
A koń wrony,
Kulbaczony,
Rwie się niespokojny.

Ciężka droga, bo na wroga —
Nie rwij się koniku!
W krwawem polu,
W srogim bolu
Legnie was bez liku.

"Idź gdy trzeba! Niech cię nieba,
"Niech cię BÓG prowadzi!
"Lecz ten krzyżyk
"I szkaplerzyk
"W boju nie zawadzi."

"Za wygraną zmów co rano:
"Trzy Zdrowaś, i Wierzę;
"Kto pobożny
"I ostrożny,
"Tego i BÓG strzeże."

Rzekła — płacze — Wrona kracze,
A to wrzask złowrogi,
Niepomoże:
Święty Boże!
Kraj nad wszystko drogi.

Przyjął krzyżyk i szkaplerzyk,
Westchnął — dosiadł konia --
Skinął głową:
"Bądź mi zdrową!"
I ruszył wzdłuż błonia.

Ale prędzej z szarej przędzy
Śrebrna nić wypłynie,
Niż we swaty
Do jej chaty
Staś kiedy zawinie.

PIEŚŃ PROSTEGO ŻOŁNIERZA.

Niech kogo zdobią i wstęgi i złoto,
Moje z zazdrości serce nie usycha;
Służyć Ojczyźnie z ochotą,
W tym żołnierza cała pycha.

Zawsze coś braknie wyrodnym,
Choć na zbytku żyją łonie;
Dla mnie posłaniem wygodnem
Jest ta ziemia, co jej bronię.

Wodę czystą znajdę wszędzie,
Gdy chleb jest przy niej, szczęśliwszym od króli,
Może mi jutro potrzebnym nie będzie,
Dziś mnie nasyca do woli.

Kto z świętej kraju miłości wyzuty,
Zmordował wzgardę publiczną:
Niech biesiadą ustawiczną,
Koi sumienia wyrzuty.

Dla mnie to będzie dzień uczty prawdziwy,
Gdy na równinie błyszczącej żelazem,
Zbudzi męże do boju dźwięk trąby chrapliwy,
I w niezliczonych hufcach szczękną bronie razem.

Boże wszechmocny! nie pytam ja Ciebie:
Kres mego życia bliski czy daleki,
Niech tylko na mym luba nie jęczy pogrzebie,
Daj mi wśród huku armat zawierać powieki.

Rycerzów naszych zwycięskie okrzyki,
Daj mi usłyszeć w' mą śmiertelną chwilę;
Daj podeptane widzieć wrogów szyki,
Ach! jakże wtenczas, jakże umrę mile.

Antoni Gorecki.

TRZY GWIAZDY.

Bezustannie slyszymy skargi na ułomność naszego czasu i stosunków społecznych. Ludzie sądzą, że zmianami politycznemi i

prawodawstwem da się znaleźć lekarstwo na choroby czasu. Powstawali w rozmaitych czasach rozmaici mędrcy, którzy stosunki na świecie chcieli poprawić i ludzi uszczęśliwić, puszczano temu choremu społeczeństwu krew w rozmaitych wojnach, bagnetami chciano mu szczęście zdobyć; zachwalano komunizm, to socyalizm, to demokracyą, to konstytucyą, to znowu anarchią, jako jedynie zbawiające wyznanie wiary politycznej. Ale dobro i wolność ludów nie zawisły od takich reform i rewolucyi, nie od tej lub owej głowy sekty politycznej, lecz od religii i bogobojności, od cnotliwego życia prywatnego i publicznego, od zachowania świętych przykazań Bożych i prawdziwej i szczerej miłości bliźniego. Oto lekarstwo dla chorego społeczeństwa.

Aleksander, król Macedonii, nabawił się wskutek kąpieli w zimnej wodzie rzeki azyatyckiej bardzo niebezpiecznej choroby. Lekarz jego Filip przygotował mu lekarstwo; w tem odebrał Aleksander od jednego z przyjaciół swoich list tej treści: "Nie ufaj lekarzowi swemu Aleksandrze, bo przekupiony od Persów, zamierza Cię otruć." Gdy lekarz następnie do niego przyszedł i przyniósł mu owo lekarstwo, podał mu Aleksander jedną ręką ten list, a drugą zaś schwycił czarę z lekarstwem i jednym tchem ją wychylił. Historycy nadzwyczaj wynosili ten czyn pogańskiego króla i dziś jeszcze świat to podziwia, że Aleksander z niebezpieczeństwem życia wierzył człowiekowi na słowo. Tę samą rolę, którą Filip przed chorym Aleksandrem odegrał, odgrywa dziś Kościół przy owym wielkim chorym, którym jest ród ludzki. I Kościół podaje mu napój gorzki, naukę Ewangelii, mówiąc: "Pij na moje słowo; bo ten napój zawiera w sobie życie i zdrowie doczesne i wieczne." Ale społeczeństwo przestrasza się ofiary, której cnota wymaga i nie naśladuje pogańskiego bohatera. Zamiast wierzyć Kościołowi na słowo, wacha się i powątpiewa; zanim czarę bierze do ręki, pyta, czy obietnice Kościoła nie są zwodniczemi, i czy istotnie Kościół przemawia w imię Boga. A wszakże to ów wielki Bozki Lekarz, Zbawiciel świata, złożył to lekarstwo w łonie Kościoła. Jak gwiazdy świecą w ciemną noc, jak rozpraszają ciemności i grozę im odbierają, tak zajaśniało łagodnie światło Boże w nocy i wśród ciemności nędznej naszej ziemi.

Jak kiedy po długiej ostrej zimie zawieją łagodnie wietrzyki wiosenne, gdy ciepły promyk słońca zbudzi drzemiący w łonie ziemi zarodek życia, i na niwie pojawią się pierwsze kwiatki, zwiastuny zbliżającej się wiosny, tak rozszedł się powiew błogosławieństwa, który popłynął z serca Zbawiciela, na wyziębłą i pustą ziemię, — i stał się "pokój wszystkim ludziom dobrej woli." I od owych szczęśliwych dni niebieski Lekarz i Przewodnik każdemu człowiekowi z osobna i każdemu narodowi łaskawie podaje rękę, i wsparty Bozką ręką postępuje pielgrzym ziemski spokojnie i bezpiecznie pomiędzy przepaściami tego świata i przez niebezpieczne i puste bezdroża tego życia.

Trzy gwiazdy przyświecają chrześcianinowi na ciemnej tej drodze, które całemu życiu jego nadawają dobry kierunek. Pierwszą gwiazdą jest Przenajświętszy Sakrament, stanowiący jądro całego nabożeństwa wiernego chrześcianina: "Najkosztowniejszą perłą" nazywa go pobożnością tchnąca mowa Ojców św. Tam dokąd chrześcianina woła rzewny głos dzwonów, tam gdzie łagodnie i cicho jaśnieje blask lampki wiecznej, klęka i mówi: "Tu Bóg mój! Tu w tym ołtarzu, którego promyk tajemniczy oświeca lampka wieczna, który bezustannie niewidzialnie chór Aniołów otacza, tu czcimy nie suknie święte, które nosił Bozki Zbawiciel, nie cząstkę krzyża świętego, które Ciało Jego Najświętsze piastowało — tu Bóg odwieczny żywy osobiście jest obecny. D.n.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiaski moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

RUSAŁKI.

POWIEŚĆ LUDOWA

przez

Żegotę z Kostrowca.

Ciąg dalszy.

Od tej pory służyłem pasterzom wiernie za suchy kawałek chleba. Nowy ten rodzaj życia nie był dla mnie bez wdzięku. W polu i lasach przepędzałem całe dnie zdala od wiosek i mieszkań ludzkich, które mi nadzwyczaj były obrzydły.

Pasterze bardzo się mną cieszyli: mogli bowiem spać najswobodniej: gdyż ustawnie obchodziłem wkoło trzodę i pilnowałem, aby się żadna owca nie oddzielała. Jeźli zaś zagrażał wilk, natychmiast budziłem pasterzów, a sam rzucałem się na dzikiego zwierza i nigdy mu nie dopuściłem porwać owcy. Moi panowie dziwili się nad moją zmyślnością i nawet rozum wielki mi przypisywali.

W czasie spoczynku trzody kładłem się w cieniu pod drzewem na zielonej murawie i albo spokojnie drzymałem, albo łapałem z dziwną zręcznością i śmiesznym gniewem muchy, które mi bardzo dokuczały. Dziwna rzecz, że przy pojęciu ludzkiem wszystkie gusta psie przyjąłem mimowoli. Wojnę nielitościwą prowadziłem z kotami, chociaż mi nieraz uszy i twarz podrapały. Lubiłem wykopywać z niemałym trudem polne myszy i susełki, albo uganiać się za pliszką, która zdawała się mię draźnić, podlatując i siadając niedaleko ode mnie. Ale za to w zbożu na wiosnę łapałem młode ptaszęta i zajączki i na to byłem majster. Jeźli zaś czułem się niezdrów, szukałem sobie leczącej trawy w polu, bo lepiej od lekarza znałem się na ziołach i wiedziałem, jakie może pomódz na jaką chorobę.

W ciągu zatrudnień i odpoczynków zajmowała mnie ta jedna myśl, jakby odzyskać postać człowieka i pomścić się nad zbrodniczą parą. Tysiąc zamiarów snuło się po głowie, a zawsze w końcu stawało niepodobieństwo. Raz leżąc za pagórkiem, takem się zamyślił, żem nawet o trzodzie zapomniał, aż tu nagle krzyk dał się słyszeć i w tej chwili ogromny wilk już unosił na grzbiecie beczącą owieczkę. Rzuciłem się w pogoń: i tak pędziłem kilka godzin, aż wreszcie zziajani stanęliśmy do walki; ale zaledwie jeden drugiego krwią się zbroczył, ogarnęło nas obu zdumienie, bo każdy przed sobą ujrzał człowieka. Później dowiedziałem się o tej czarnoksięzkiej tajemnicy, że krew ludzka może człowieka zamienionego w zwierzę, powrócić do dawnej postaci. Mój przeciwnik był wilkołakiem i tak szczęśliwem zrządzeniem pomogliśmy sobie nawzajem. Nie umiem ci opowiedzieć tej radości, z jaką rzuciliśmy się w objęcia po tej zajadłej bitwie.

Oswobodzony z psiej postawy, przemyśliwałem o sposobie zemsty. Odebrać im życie było dla mnie rzeczą nazbyt małą: bo tak długo, tak okropnie cierpiałem, a oni w jednej chwilce wszystkoby skończyli. Moja tajemnicza nauka przybyła mi na pomoc i wkrótce przez różne zaklęcia dostałem czarnoksięzkiego pręta. W dzikiej radości, jaką tylko może natchnąć długo karmiona zemsta, podkradłem się nocą do własnego domu, wszedłem po cichu i obrzydłą śpiącą parę przy wymówieniu uderzyłem prętem. W tej chwili obudzili się, ale już w postaci bawołu i bawolicy.

Od tego czasu żyję wprawdzie smutnie,

bo mi ten dom przypomina najmilszą żonę i dziatki, które z własnej winy straciłem: jednak pocieszam się zemstą i wszystkie pola ustawnie orzę tą nienawistną parą, a jej ukaranie podtrzymuje mi życie. Sam teraz widzisz, że należało tych przemienić w bydlęta, którzy jak bydlęta żyli.

Czarnoksiężnik Jastrząb, słysząc o moim powrocie, i o zniknięciu swej córki, domyślał się, że coś złego musiałem jej zrobić, przeto oddawna czatował na mnie. Trzeba ci wiedzieć, że wszyscy ludzie mają w swych twarzach jakieś niewyraźne podobieństwo do rozmaitych zwierząt: ten bowiem zdaje się przypominać barana, ten wołu, ten wilka, ten sowę lub krogulca, lub inne jakie zwierzę. Otóż każdy czarnoksiężnik może tylko dobrowolnie na jakiś czas przemienić się w tę postać zwierzęcia, do jakiej ma podobieństwo. Mój przeciwnik, mający twarz z ostrym nosem przypomniał jastrzębia, a wiedząc dobrze, że ja nie mogę siebie obrócić w nic innego jak gołębia, postanowił napaść na mnie podczas przemiany, aby córkę swoję wyzwolić. Wprawdzie nie wiele on dbał o nią, ale chodziło mu o to, żebym nie zostawał bez jej przeciwieństwa i nie używał miłego pokoju. Dzięki twej pomocy, jestem wolny od tego niebezpieczeństwa: chciej mi przeto powiedzieć, czembym odwdzięczyć mógł tak wielkie dobrodziejstwo?"

V. Pojmanie.

Miłowid opowiedział swoję przygodę, a czarnoksiężnik Waśmucha rzekł: — "Mogę ci podać niezawodny sposób pojmania Rusałki. Nakup różnych kobiecych strojów i bawidełek: a w drodze ktobykolwiek prosił o jaki podarunek, chętnie udzielaj."—Nad to dał mu czarnoksiężnik cienki z włosów ludzkich sznurek mający taką własność, że nikt go przestąpić nie mógł.

Jeszcze dniało, a Miłowid puścił się w drogę: i przybywszy do wielkiego miasta nakupił różnych niewieścich strojów i błyszczących trzęsidełek ogromny wóz, którym dalej odbywał podróż. Po kilku tygodniach kiedy się zbliżał do morza, ujrzał na dzielnym siwym koniu jadącego szybko młodziana. "A co wieziesz?" spytał go, świszcząc młodzieniec. "Towary kobiece," odparł Miłowid. — "Słuchaj, rzekł bystry jeździec, jestem wicher, mogę ci się przydać, daj mi piękne podarunki dla mojej narzeczonej."— Miłowid ochotnie mu darował wiele prześlicznych rzeczy. — Na drugi dzień spotkał zdrowego i krzepkiego, chociaż bielutkiego starca, że aż ziemia pod nim skrzypiała, jakby szedł po śniegu. Był to mróz, który go prosił o podarunki dla swej córki, bo miało być jej wesele z dziarskim mołojcem wichrem. Miłowid i temu dał wszystko, czego żądał.

Późną nocą przybył na brzeg morski; natychmiast wjechał wozem w wodę i stanąwszy niedaleko od brzegu, porozwieszał na wozie różnobarwne stroje, śliczne świecidełka i złote łańcuszki i kolce z jasnemi jak słońce kamyczkami: a wszystko to urządziwszy bardzo pięknie na oko, schował się sam pod wozem ze sznurkiem włosianym w ręku i tak czekał świtu.

Jeszcze niebo na wschodzie nie zaczynało czerwienić się, kiedy nagle uderzył niemały blask na wodzie. Była to złotowłosa i jasnolica Rusałka, która na pięknem złotem czołenku płynęła po gładziutkiem morzu: a przy niej do koła rozkosznie igrały i pląsały rozmaite rybki ze złotą, srebrną i czerwoną łuską. Długo w rozmaitym kierunku przerzynała posłuszne jej wody, a jej blask tak był wielki, że ptaszęta w sadach nadbrzeżnych powitały ją miłem szczebiotaniem, jakby wschód słońca. Tak pływając Rusałka, spostrzegła śliczne niewieście ubiory i do tyla się jej spodobały, że zapomniawszy swej zwykłej ostróżności, szybko jak rybka pędziła swojem czołenkiem pro-

sto do wozu, gdzie piękne świeciły bawidełka. Skoro tylko weszła na wóz i ujęta wdziękiem strojów pilnie się przypatrywała, natychmiast wicher wywrócił czołenko i zatopił, a mróz pościnał lodem w około morze. Miłowid pochwycił złotowłosą dziewicę i związał ją czarodziejskim sznurkiem z ludzkich włosów.

Dokończenie nastąpi.

Józef Ignacy Kraszewski.



Dnia 19 marca minęło dziesięć lat, jak śmierć zabrała nam największego pracownika niwy ojczystej. Rocznicę tej smutnej chwili uczcić nam należy, młodzi czytelnicy, wspomnieniem zasług wielkiego pisarza, który miliony wydźwignął na wyżyny ducha, który przez więcej niż pół wieku dziełami swemi wychowywał, karmił i pocieszał naród cały. A choć olbrzymem był, umiał zniżyć się do maluczkich, pamiętał o ludzie i o dziatwie, bo w jego myśli i sercu od żebraka do księcia, od starca do dziecka, wszyscy mieli swój kącik.

Życie Kraszewskiego, to wielka księga, w której zagłębiać się będą późne pokolenia, my z niej parę tylko kartek odczytamy. — Józef Ignacy urodził się w Warszawie, w pamiętnym roku 1812, kiedy Napoleon, ów zwycięzca świata, przeciągał przez Polskę i łudził Polaków obietnicami odbudowania ojczyzny. Pierwsze lata życia spędził malec na wsi, w szlacheckim dworku swych rodziców, a duszyczka jego niewinna, jak ptaszę rwała się do tych łanów i pól złocistych, do tych borów poważnych, które później tak malowniczo opisywał. Tu na wsi, w przestrzeniach niczem nie zasłoniętych, rozwijał się w przyszłym powieściopisarzu zmysł piękna, a rozwijał daleko szybciej, niż u dzieci miejskich, zniewolonych patrzeć na kamienne bruki i szare mury kamienic, widzących przed sobą tylko ograniczony skrawek zamglonego dymem kominów nieba. Chwile spędzone w wiejskim dworku, należą do najszczęśliwszych w życiu Kraszewskiego, śnił i marzył o nich w późne lata. Pierwszą nauczycielką, a niby drugą matką była jego prababka, typ matrony polskiej, której chrześciańskie zasady wiary i miłości na zawsze utkwiły w sercu prawnuka. Jedna z zasad — powiada sam — praktycznie przez prababkę wszczepianych, które mi się najmocniej wbiły w pamięć, była: ,,trzeba za złe dobrem płacić''. Pierwsze uczucia miłości ojczyzny rozdmuchał w nim dziadek, który nauczył go łzami oblewać smutne karty dziejów ojczystych.

Z rokiem 1822 rozpoczyna się drugi okres jego życia. Jedenastoletni chłopczyna opuszcza ciepłe gniazdo rodzinne i jedzie w świat obcy, aby korzystać ze światła nauki, gdzie go czeka ciężka praca a ukrócona zostanie jego wolność i swoboda ptaszęca. Oddany do szkoły gimnazyalnej w Białej Radziwiłłowskiej, pod opiekę rektora, musiał od razu nagiąć się do ścisłego porządku i punktualności, jaka w tym zakładzie panowała. Wszystko tam bowiem miało swoje przeznaczone godziny: nauka, zabawa, pokarm i spoczynek. Celem najmilszych wycieczek

Kraszewskiego było Radziwiłłowskie zamczysko, co wzniesione wśród zieleni lip stuletnich, panowało nad całą okolicą, jak ojciec nad gromadką dzieci. Wśród ruin tego zamku, w którego komnatach — jak niesie podanie, miał się kąpać ks. Radziwiłł w winie — wsparty na omszałych starością arkadach, wsłuchiwał się przyszły poeta w tajemnicze szepty przeszłości; tu młoda jego dusza wznosiła się na skrzydłach fantazyi do nieznanych wyżyn, a wspomnienia tych szczątków dawnej świetności natchnęły go potem do opisania ich dziejów w pięknych powieściach i dramatach.

Już na ławce szkolnej, w Białej, zaczął Kraszewski pisać wierszyki i drobne powiastki, wydawał nawet gazetkę humorystyczną z winietami, które sam rysował. Młodzi prenumeratorowie byli obowiązani redaktorowi dostarczać papieru. Tu poczuł też Kraszewski po raz pierwszy prawdziwy pociąg do starych książek. Przyczynił się do tego szczególny przypadek. Profesor Sengteller, któremu powierzono uporządkowanie zbiorów szkolnych, będąc z zawodu przyrodnikiem, a nie umiejąc rozpoznać wartości innych dzieł, powyrzucał na strych niektóre stare książki, jako bezpożyteczne. Szlachetne te wyrzutki dostały się do rąk Kraszewskiego, który z zapałem rzucił się na nie, jak na skarbiec najdroższych klejnotów, a zamiłowanie to do ,,starych szpargałów'' pozostawiło głębsze ślady w jego pismach.

Dalsze nauki odbył Kraszewski w Lublinie, w mieście pamiętnem z wielkiego dzieła unii Polski z Litwą — kończył zaś nauki te w gimnazyum swisłockiem, pierwszej w tamtych stronach szkole świeckiej, innemi bowiem zarządzali jeszcze duchowni. Jak się zaś przykładał do nauki, świadczą dwie nagrody i świadectwo dojrzałości, najlepsze ze wszystkich. Zapisał się potem na uniwersytet wileński, który w owym czasie żył już tylko sławą imienia Mickiewicza i wziął się na dobre do pracy naukowej. ,,Na moje pragnienie nauki — pisze w liście do najdroższej matki — życia doprawdy za mało. Uczę się, czego pragnąłem i uczę z zapałem. Całe dnie mam zajęte, a zawsze mi się krótkiemi wydają. Jeżeli kto na świecie się nudzi, niech się uczy, a uzna, że jedna tylko nauka i praca społeczna może człowieka uszczęśliwić''. — Słowa te powinienby sobie zapamiętać każdy uczący się. — ,,Oprócz lekcyi języków, historyi, literatury, chodzę na lekcye malarstwa, gram, piszę, rysuję z natury, a nie mogę być obcym towarzyszom moim. O, cóż tu przyjemności'' — woła na widok tak różnorodnej pracy, nad którąby inny zapłakał ze zmartwienia. Zamiłowanie do starożytnych pisarzy wiodło go do poszukiwania starych pamiątek: odczytywał napisy nagrobkowe, szperał w średniowiecznych dokumentach i kronikach słowem zagłębiał się w dziejach sztuki i oświaty naszej przeszłości. Zaczął też pod przybranem nazwiskiem Kleofasa Pasternaka ogłaszać drukiem większe powieści jak ,,Pan Walery'' i Wielki świat małego miasteczka''. Rozpalona wyobraźnia młodego pisarza marzyła już o wiekopomnej sławie. ,,Ja chcę, ja muszę być — woła pełen uniesienia i dumy — ja będę sławnym! Sława, to piękna i święta rzecz. Żyć w pamięci ludów, w błogosławieństwie pokoleń — najwyższa to nagroda życia, warta poświęcenia i znojów. Sława, to uroczyste znamię, którem ludy piętnują wybranych, a głosy ludów, głosem Boga''. I nie omylił się w przeczuciu przyszły mistrz. Sława jego nie ograniczyła się tylko na Polsce, ale zaświeciła jasnym blaskiem w całej Europie. A zawdzięczał to nie tyle talentowi, ile żmudnej, wytrwałej, niezmordowanej pracy, bo nadzwyczajnych, genialnych zdolności nie posiadał.

Dokończenie nastąpi.

ŻYWOTY ŚWIĘTYCH PAŃSKICH,

są opracowane przez *ks. O. Bitschnau'a*, prof. kapitularnego klasztoru św. Benedykta w Einsiedelu podług najlepszych źródeł wyjętych z dzieł Ojców i Doktorów Kościoła św.

Opis Żywotów Świętych Pańskich jest nie tylko pożyteczną i zbawienną. ale nawet konieczną książką w każdym domu, w każdej chrześcijańskiej rodzinie. W książce takiej znajdują się przykłady na wszelkie okoliczności życia, dla wszystkich stanów, dla obojga płci, każdego wieku. Książka ta powinna być w każdym domu rozłożona na stole, aby w każdej chwili i w każdej okoliczności można w niej czerpać radę i pociechę.

Żywoty Swiętych Pańskich obejmują 1166 stronnic wyraźnego druku, pisane dobrą polszczyzną i zrozumiałym stylem, rozłożone na wszystkie dni roku, wraz z należącemi do tego rozmyślaniami i modlitwami do każdego Swiętego lub Swiętej. Do każdego żywota dodany jest obrazek tegoż Swiętego lub Swiętej. Prócz tego dzieło zawiera 8 prześlicznych kolorowych obrazów następujących Swiętych: Sw. Heleny, św. Józefa z Dzieciątkiem Jezus, św. Antoniego Padewskiego z Dzieciątkiem Jezus, św. Alojzego, Dziecięcia Maryi, św. Karola Boromeusza, św. Katarzyny i św. Mikołaja. Format tego dzieła jest albumowy. Żywoty Świętych w mocnej i ozdobnej oprawie kosztują tylko **$4.00.**

Nauka Wiary i Obyczajów Kościoła Katolickiego.

Wyłożona obszernie, stwierdzona i objaśniona miejscami pisma św. i Ojców Kościoła i przykładami z życia oraz przewodnik życia dla rodzin chrześciańskich. Potwierdzona i polecona przez 24 książąt Kościoła i ozdobiona 10 kolorowemi prześlicznemi obrazami oraz licznemi bardzo rycinami. Format duży, albumowy, oprawa elegancka, stronnic 1238. Dzieło to składa się z trzech części i zawiera w części I naukę o wierze, w części II naukę o przykazaniach, w części III naukę o środkach łaski. Książka ta znajdować się powinna w każdej polskiej rodzinie, bo z niej czerpać można naukę i pociechę w każdej potrzebie. Cena całego dzieła oprawnego w płótno angiel. z złotemi wyciskami 4.50
Powyższe dzieło w trzech osobnych tomach w eleganckiej oprawie 6.00

Fabiola, powieść z czasów prześladowania chrześcian w r. 302, napisał kardynał Wiseman, w oprawie 1.50

Głowa św. Barbary, powieść z przeszłości Pomorza. Napisał ks. Kujot 35c

Dwie Roże, powiastka historyczna z dziejów Anglii XV wieku, przekład W. L. Anczyca 30c

Dzieci Wdowy, powieść moralna 30c

Boża Opieka, powieść osnuta na podaniach 18go wieku przez J. I. Kraszewskiego 50c

Żywot Bogarodzicy Najśw. Panny Maryi i jej Oblubieńca św. Józefa

z opisem najgłówniejszych miejsc cudownych i czcicieli Najśw. Panny Maryi, polecone przez 33 Książąt Kościoła, ozdobione 8 ślicznemi kolorowemi obrazami i blizko 500 rycinami, w eleganckiej oprawie, format duży albumowy.. 4.00

Anioł Pański, powieść obyczajowa przez Bakałarza z Lwigrodu 30c

Klara, czyli zwycięztwo cnoty, powieść, napisał ks. kanonik Schmidt 25c

Ita hrabina na Toggenburgu. Historya prawdziwa z XII wieku, wielce pouczająca, osobliwie dla niewinnie cierpiących, przez Krysztofa Szmidta, spolszczona przez ks. E. W........ 30c

Hortenzya czyli ofiara dumy. Powieść osnuta na prawdziwem zdarzeniu przez F. G........ 15c

Złote Kajdany miłości i małżeństwa. Książeczka zawierająca ciekawe powieści, wesołe wierszyki, anegdoty, żarciki i fraszki z dziejów miłości i małżeństwa 25c

Wyprawa po żonę, według opowiadania starego organisty Fr. Gącarzewicza, spisał Gawrzyjelski 10c

Wyrwidąb i Waligóra, powieść dla młodzieży i ludu polskiego, napisał Józef Chociszewski....... 15c

Zły duch Lumpacyusz Vagabundus, czyli trójka hultajska, bajka wielce pouczająca 25

Księgarnia Gazety Katolickiej J. F. SMULSKI & CO.,

565 Noble Street. CHICAGO, ILL.